



Kazimierz Orłoś, *Dom pod Lutnią*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012

Tomasz Goraj

Marny bohater, mizerna literatura

Dom pod Lutnią – wypreparowany obraz mazurskiej wsi w okresie tuż powojennym – to literatura nurtu małych ojczyzn. To także proza inicjacyjna: narrator filtruje pamięć i stara się zrekonstruować perspektywę dziecięcą. Opowieść utrzymana w tonie sielskiej konwencji daje efekt w postaci idyllicznej, infantylnej optyki. Przez zmytyzowaną mgłę tu i ówdzie prześwieca ceniony u Orłosa realizm – gdzieś w tle pełga więc Historia, lecz bardzo chybotliwie.

Zasadnicza wątpliwość, od której nie sposób uciec po lekturze *Domu pod Lutnią*, stawia pod znakiem zapytania powieściowe *status quo*. Bo czy w świetle faktów historycznych, w tak trudnych warunkach społecznych i politycznych, można stworzyć idyllę? Na polu literackim, dla autorskiej terapii, jak najbardziej. I tak prawdopodobnie jest w tym przypadku.

Wydaje się, że za pomysłem stworzenia powieści stoi prewencyjna izolacja kojących wspomnień autora, która zaowocowała fantazją świata niezwykle pozytywnego w świetle historycznych wydarzeń – i tym samym świata równie odseparowanego. Orłoś w wywiadzie przeprowadzonym podczas spotkania promującego powieść, opowiadając o mazurskich epizodach swojego dzieciństwa, mówił: „[...] tam było inaczej, był to okres spokojniejszy. Byli jeszcze Mazurzy, autochtoni. Ja bawiłem się z chłopcami, którzy mówili między sobą po niemiecku. [...] dla mnie dziecka

wojny, bo ja pamiętałem trochę wojnę, miałem wtedy 12 lat [...] pamiętałem Powstanie Warszawskie, okropne rzeczy, to dla mnie te Mazury to był po prostu jakiś raj, taka szczęśliwa wyspa. I trochę jest chyba z tego właśnie w tej powieści [...] był to zupełnie inny świat, świat który zniknął. *Dom pod Lutnią* pisałem też chyba z taką chęcią, aby trochę ocalić od zapomnienia właśnie tamte czasy, tamten okres, tamten świat". Wiele z tego znalazło się w powieści. I wydawać by się mogło, że ta przetworzona literacko perspektywa nadaje główny ton całemu utworowi. Ale zamierzony cel, świadomy mniej lub bardziej, ostatecznie nie został osiągnięty. Mazurska przestrzeń ewokowana jest ambiwalentnie. Idylliczny nastrój zakłócają wojenne reminiscencje, partyzantka i coraz silniej narzucające się działania władzy komunistycznej: szpiegostwo, donosicielstwo, agitacja lipowieckiej społeczności, napastowania – i wszystko to pod szyldem odbudowy państwowości.

Jednak mimo to powieść się nie broni. Jest naiwna i przewidywalna. Mam wrażenie, że gdyby Orłoś darował sobie tło historyczne, którego ewokowanie mu nie wychodzi, ponieważ robi to do bólu sztampowo, i skupił się jedynie na postaci wnuka, jego relacji z dziadkiem i skomplikowanej sytuacji z ojcem, to nam wszystkim wyszłoby na dobre. Mielibyśmy wtedy co prawda kolejną i – biorąc pod uwagę narrację *Domu...* – pastelową (a może niekoniecznie?) opowieść o dorastaniu, ale być może byłaby to proza jednolita i dobrze napisana. Na pewno łatwo byłoby ją krytykować, wytykać epigoństwo, wskazywać płytkość *etc.*, ale myślę, że wtedy Orłoś pokazałby, jakim jest pisarzem i na co go stać.

Tymczasem stwierdzić można dobitnie, co nie będzie nadużyciem – to nie jest dobra książka, a Orłoś to nie dla przykładu György Dragomán, który na gruncie literackim potrafi fenomenalnie opisać dziecięcą inicjację w zderzeniu z totalitaryzmem. U Orłosa nie ma żadnego zgrzytu między wejściem w dorosłość a determinizmem znajdującym oparcie we władzy. Nie ma, bo też nie o to tu chodzi. Dorastanie Tomka i rozrastająca się

siatka aparatu partyjnego to dwa osobne plany. Komunizm godzi tu w pułkownika, bohatera o proweniencji – by nie chybić... – sienkiewiczowskiej, przez co pisarz strzela sobie w stopę. Powieść wypada marnie, bo Bronowicz to figura ukonstytuowana przez nie raz ośmieszany, zrutynizowany i zmityzowany idiom. Zatem wszystkie karty, odkryte, leżą już na stole.

Profil głównego bohatera realistycznej (czy okołorealistycznej) powieści, który w skrojonej fikcji egzystuje w warunkach mocno deterministycznych, silnie kształtuje nasze krytyczne wyobrażenie o konkretnym utworze. Od tej zależności chyba nie sposób uciec. Lekturę postrzegamy przez pryzmat stosunku do bohatera i taka – może niesprawiedliwa – recepcja wydaje się uzasadniona.

Jaką więc postacią jest pułkownik Bronowicz? To piłsudczyk, kawalerzysta, patriota. Wychowany w kulcie powstania styczniowego. Wzór cnót moralnych i narodowych, a przy tym krzepki ułan, bo w końcu lubi też poświntuszyć. Dzierży skromny majątek, a właściwie *quasi*-folwark – jest więc dworek z murowaną stodołą, stolarnia, zasobny inwentarz, łany pól, pastwisk, łąk. Boże Narodzenie i Wielkanoc skreślone są tu w całej gamie barw, zapachów, smaków. Do tego pisarz okrasza opowieść rzewnymi opisami spożywanych potraw, prac gospodarskich, przywiązania do zwierząt, a na deser ofiarowuje jeszcze czytane na głos *Ogniem i mieczem*. W doglądaniu gospodarstwa Bronowiczowi pomagają mieszkanka Mazur i przesiedlony spod Przemyśla Ukrainiec. Gdzieś w lesie kryją się wspaniałomyślni partyzanci, a ubecy nielegalnie polują na zwierzynę. Czasem nawet ośmielą się najść i pogrozić.

Słabości takiego stanu rzeczy wytykano już niejednokrotnie, co nie wymaga zresztą wiele trudu. Nie chcę przy tej okazji popaść w równie płytki, moralizatorski ton, ale gdyby Orłoś zrobił cokolwiek, by wyrwać swojego bohatera z tej banalnej matni, gdyby chociaż uwikłał go w

sprzeczność komunizmu i zrutynizowanej przeszłości, której ten hołduje, mogłoby być ciekawie. Zajmujące byłyby analizy takiej postaci – prawdopodobnie nieuchronnie w zestawieniu z bohaterem Andrzejewskiego. Tak się jednak, niestety, nie dzieje. Zamiast tego pisarz wokół swojego bohatera rozacza aurę zbanalizowanego mitu, wobec czego Bronowicz nijak nie ustosunkowuje się do panujących warunków. Może tylko tupnąć obcasem, pogrozić palcem i przekląć w myślach. Tak też robi – składa skargę, stoszy brwi i rzeczowo oświadcza, że jest przecież pełnoprawnym obywatelem. Jest wąły, nijaki i na wskroś nudny, co bezpośrednio rzutuje na powieść, która nijak nie stawia nam wyzwania. Niemniej jednak w książce znajdziemy kilka wątków, które – jak mi się wydaje – mogłyby stanowić budulec na ładny i prosty zbiór opowiadań. Mogłyby, ale twór ogranej szlachetczyzny ma ci ten potencjał.

Tomasz Goraj